

JAKUB POLIT

<https://orcid.org/0000-0002-8209-5124>

Instytut Historii, Uniwersytet Jagielloński

Choć osobiście zajmuję się historią powszechną i to geograficznie odległą (Dalekim Wschodem), poniższa wypowiedź — z jednym wyjątkiem — dotyczyć będzie dziejów ojczystych, bo taka (jak rozumiem) była intencja Redakcji „Kwartalnika Historycznego”.

Ad 1. Przede wszystkim, ze zrozumiałych względów, wymienić należy kwestie/obszary badawcze, których badanie uniemożliwiała cenzura, przy czym luki tej nie mogły wypełnić pionierskie wysiłki emigracji. A więc dzieje wojennego i powojennego podziemia, także (to pozorny paradoks) wojennego podziemia komunistycznego. Dzieje Polski po 1945 r. w każdym ich aspekcie (także gospodarczym i kulturalnym): przypomnijmy, iż w PRL owa „historia najnowsza” w ogóle nie była badana, a istniejące pseudosyntezy wypełniano danymi z referatów sprawozdawczych z kolejnych zjazdów PZPR. Rola Instytutu Pamięci Narodowej i jego wydawnictwa jest tu, mimo takich czy innych zastrzeżeń, nie do przecenienia. Jeśli chodzi o autorów, wystarczy wymienić nazwiska Jerzego Eislera, Andrzeja Friszkego, Andrzeja Paczkowskiego — by ograniczyć się tylko do dzieł o charakterze syntetycznym. Wartościowy wkład wniosła seria *W krainie PRL* byłego już (niestety) Wydawnictwa Trio, zdominowana przez uczniów Marcina Kuli. Paweł Wieczorkiewicz i młodszy od niego badacze, tacy jak Jakub Wojtkowiak, rozpoczęli rzeczywiste, źródłowe badania dziejów ZSRR. Nawet jednak w tak modnej, wydawałoby się, dziedzinie jak historia opozycji politycznej „za komuny” istnieją całe pola omijane lub słabo zbadane, np. dzieje PSL Mikołajczykowskiego.

Ale, poza wejściem na dziewiczy (po odryglowaniu archiwów) teren, możliwe jest też zakwestionowanie też od dawna zakorzenionych. Tu można wspomnieć o rewizji poglądów na genezę państwa polskiego, udowodnienie — jak się już wydaje — tezy, że było ono dziełem jednej tylko generacji poprzedzającej bezpośrednio Mieszka I, przy czym pod znakiem zapytania stanęły takie dotychczasowe dogmaty jak istnienie państwa Wiślan czy plemienia Polan (przynajmniej pod tą nazwą). W kontekście całego tego zagadnienia trudno nie wymienić choć jednego

nazwiska, a mianowicie Tomasza Jasińskiego, który prócz wykorzystania dendrochronologii dla oświetlenia naszego „dziejowego świtu” rozwiązał też — być może — „kwestię homerową polskiej historii i literatury”, a mianowicie pochodzenia Anonima tzw. Galla.

Wydaje się, że badania nad „dziejami nowożytnymi” Rzeczypospolitej (1569–1795) były mniej dynamiczne niż te dotyczące wieków średnich, a unię polsko-litewską badali najlepiej cudzoziemcy, jak Robert Frost czy Zenonas Norkus. Niemniej wreszcie można było w praktyce (czyli we współpracy z zagranicznymi kolegami) ukazać, iż dzieje państwa, w którym mieszkał naród polski, to dzieje nie tylko Polaków. W sławnej „Makiecie” historii Polski PAN w tomach o XVIII i XIX w. mówiono wszak o Wrocławiu, ale nie o Mińsku, postępy reformacji zaś ukazywano na mapach przedstawiających granice PRL. Ważnym przedsięwzięciem okazała się opracowana na przełomie wieków przez Instytut Europy Środkowo-Wschodniej seria wydawnicza, w której równolegle ukazano dzieje Polski, Białorusi, Litwy i Ukrainy z udziałem historyków z wszystkich tych czterech krajów, bez ujednoczenia poglądów, ale z pełnym poczuciem wspólnoty losów tych narodów. Do narodów tych dodać można — z pełnym poczuciem specyfiki — Żydów i to tak, by poznawanie ich przeszłości na obszarze byłej Rzeczypospolitej nie było równoznaczne ze studiowaniem „dziejów antysemityzmu”.

Oдноśnie do dziejów porozbiorowych wydarzeniem — zdaniem piszącego te słowa — była publikacja monografii Dariusza Nawrota *Litwa i Napoleon w 1812 roku*. Na to dzieło, potwierdzające, jak realne dawał „rok ów” szanse na sukces, historiografia polska czekała niemal sto lat (od czasu studium Janusza Iwaszkiewicza). W pracy tej, bazującej oczywiście także na źródłach francuskich i polskich, ogromną rolę odegrała kwerenda w archiwach wileńskich, lwowskich, mińskich i moskiewskich. Choć w czasach PRL próbowano owe archiwa penetrować (tu z wielkim szacunkiem wypada przywołać choć jedno nazwisko: Wiktorii Śliwowskiej) to obecnie sytuacja zmieniła się zasadniczo. Henryk Głębocki potwierdził, iż zasoby naszych sąsiadów na Wschodzie kryć mogą archiwalne skarby rzucające nowe światło na tak pierwszoplanowe postacie polskich dziejów jak Juliusz Słowacki czy jego wielbiciel Józef Piłsudski. Inna sprawa, że doświadczenia Głębockiego uświadamiają też, iż wrota takie nie muszą się otworzyć raz na zawsze.

Każde pokolenie stawia źródłom nowe pytania. W ciągu ostatniego trzydziestolecia zmarli — niestety — badacze, którzy II wojnę światową oglądali jako ludzie dorośli czy dorastający. Ich uczniowie, tacy jak Stanisław Żerko i Marek Kornat (bardzo skądinąd różni w swojej ocenie np. polityki Józefa Becka), poza zainicjowaniem (przy współpracy z innymi,

z Włodzimierzem Borodziejem na czele) monumentalnej serii *Polskich dokumentów dyplomatycznych* i dorzucenia pewnych nowych kart do (wydawałoby się) zamkniętego już korpusu źródeł potwierdzili, mimo wspomnianych różnic, bezalternatywność dla polityki polskiej w 1939 r. Głośne bowiem publicystycznie hasła o istniejącej jakoby wówczas „alternatywie niemieckiej” nie znalazły źródłowego poparcia.

Zastrzegłem się, że nie będę mówił o historii *stricte* powszechnej, ale czas antyku to przeszłość wszystkich ludzi Zachodu, a więc i nasza. Takie osiągnięcia jak unikalne syntezy dziejów starożytnych Greków (Ewa Wipszycka i jej współpracownicy) oraz Rzymian (Adam Ziółkowski) nie są niestety, przynajmniej odnośnie do pierwszego z tych przypadków, wystarczająco znane poza granicami Polski. Ale w wypadku dorobku Marii Dzielskiej — już tak jest.

Ad 2. Jakie tematy i wątki? Takie, mówiąc najkrócej, jakie historycy, w tym i ci najmłodszy, zechcą badać i do których badania mistrzowie (nie uważam, że to termin przestarzały) zdołają ich zainspirować. Minęły, ufam głęboko, czasy, kiedy całe dziedziny badań (jak choćby genealogia) były „podejrzane” i kiedy dla pewnych zagadnień niedostępne były archiwalia (abstrahuję tu od ich niedostępności w pewnych państwach nie tylko ościennych).

Oczywiście niektóre przedsięwzięcia ważne, ośmielę się rzec, dla kultury polskiej muszą mieć priorytet — i tu jedynie przerażeniem napawać mogą pomysły (na przykład przerwania wydawania *Polskiego słownika biograficznego*). Wbrew niemądremu twierdzeniu pewnego wybitnego skądinąd specjalisty, dzieje poszczególnych krajów nigdy nie staną się tylko „historią odpowiednich regionów Unii Europejskiej”, i to nie tylko dlatego, iż nie bardzo się da napisać „wspólny” podręcznik dziejów krajów Unii. Pewne wątki historii Polski (czy raczej Rzeczypospolitej) liczyć jednak mogą na dobre przyjęcie. Warto skupić się na dziejach naszego parlamentaryzmu i w ogóle tradycji obywatelskiej i wolnościowej. Na razie ich najbardziej znanym w świecie elementem jest *liberum veto*, co przypomina sprowadzanie ateńskiej demokracji do wygnania Arystydesa i stracenia Sokratesa. Zamiast konkludować, że wysiłki dawnych Sarmatów ostatecznie skończyły się katastrofą (jak, *summa summarum*, także dawnych Ateńczyków, Rzymian czy Wenecjan) i że źródłem ich bogactwa była pańszczyźniana praca włościan (jak bogactwa twórców konstytucji USA — praca niewolników), skupić się można na dziejach wolnych obywateli wolnego państwa. Na tradycji samorządów, swobód obywatelskich i tolerancji. Chodzi nie tylko o przeszłość, którą dzielimy z mieszkańcami tak zwanych krajów ULB (Ukraina–Litwa–Białoruś), ale np. z diasporą żydowską. Unikalna historia tej ostatniej społeczności

w Polsce badana jest obecnie w świetny sposób; absurdem jest studiowanie jej tak, jakby z góry zmierzała ku tragicznemu (nie przez Polaków zarządzonemu) finałowi.

Osobną kwestią jest publikowanie w językach obcych i w ogóle popularyzowanie osiągnięć polskiej historiografii za granicą. Jako członek Komisji Recenzentów Konkursu o Nagrodę im. Janusza Kurtyki mam świadomość, że niełatwo jest znaleźć pozycję, która łączy jednocześnie naukowy charakter oraz wysoki poziom z tematyką na tyle „uniwersalną”, iż mogącą zafrapować zagranicznego czytelnika. A przecież prace takie można planować, wręcz zamawiać. Jest trudne do pojęcia, że w dwusetlecie śmierci Kościuszki — jednego z najbardziej „międzynarodowych” polskich bohaterów, zwłaszcza w kontekście światowej pozycji USA — nie pojawiła się nowa, źródłowa biografia Naczelnika (pustki nie zapełnił sprawnie napisany, ale tylko szkic pióra Dariusza Nawrota). Tymczasem za lat dziesięć czeka nas pięćdziesięciolecie Sierpnia 1980, a za mniej niż dwie dekady stulecie Września 1939 r. — wydarzeń, w których rola Polski była naprawdę światowa. Jeśli Marek Kornat i Mariusz Wołos skończą do tego czasu dawno zapowiadaną biografię Józefa Becka, stanowczo należałoby ją (co najmniej w skróconej wersji) przełożyć na angielski i niemiecki.

Ad 3. Pytanie to jest w moim przekonaniu retoryczne. Jeśli uznamy, że syntezy są wymarłym gatunkiem historiografii (jak epepeja literatury), to na czym polega zadanie historyka? Bo wszak nie na schlebającym różnym modom fantazjowaniu, polegającym na opisywaniu różnych „fantomowych ciał”. Steven Runciman uzasadniał, że „obowiązkiem historyka jest pisać historię, to znaczy podejmować próbę przedstawienia w jednej śmiałej sekwencji tych wielkich wydarzeń i ruchów, które kształtowały ludzkie losy. Pisarza, który z pewną brawurą zaryzykuje taką próbę, nie powinno się krytykować za jego ambicję, choćby zasłużył sobie na naganę za niedostatki rynsztunku lub błędne konkluzje”. Ponadto to syntezy, a nie badania szczegółowe, mają największy, wychodzący poza ramy cechu dziejopisów, rezonans. Władysław Konopczyński był „archiwizercą” i niezrównanym znawcą epok saskiej i stanisławowskiej, ale jego *opus magnum* pozostaną *Dzieje Polski nowożytnej*. Jeśli nie będziemy pisać syntez, stworzą je za nas inni. I nie musi być to ktoś pokroju Normana Daviesa: może być to Anita Prazmowska czy zgoła Brian Porter-Szűcs, u nas mało znany, ale chętnie cytowany (niestety) za granicą.

Mało kto oczywiście może naśladować Andrzeja Nowaka, którego wielotomowe *Dzieje Polski* (jeśli zostaną skończone) będą wydarzeniem bezprecedensowym. Synteza pióra więcej niż jednego (no, może dwóch) autorów nie będzie jednak prawdziwą syntezą, ale najwyżej rodzajem

encyklopedii, w dodatku (jak wspomniana, PRL-owska, zbiorowa *Historia Polski*) narracyjnie martwej. Historycy stawić muszą czoła zagadnieniom zasadniczym, a w tym kontekście np. pytanie o okoliczności upadku partyjnej frakcji Franciszka Szlachcica czy tzw. puczu olsztyńskiego w 1971 r. ustąpić musi problemowi „czym była PRL” (acz, naturalnie, odpowiedź na wymienione wyżej kwestie szczegółowe jest niezbędna dla uporania się z wymagającą syntezy kwestią zasadniczą).

Jako badacz dziejów powszechnych XX w. chciałbym w tym kontekście wymienić dwa nazwiska. Po pierwsze Wojciecha Roszkowskiego jako autora *Półwiecza. Historii politycznej świata po 1945 r.* Prób syntez dziejów świata „pojałtańskiego” (których w PRL prawie nie było, nawet w jedynie możliwym kontekście „agitpropu”) podjęto wprawdzie po 1989 r. kilka (sam uczestniczyłem w trzech), ale tu chodzi o syntezę autorską. Po drugie Antoniego Dudka, twórcy ciągle rozbudowywanej *Historii politycznej Polski po 1989 r.*, która dla wizji dziejów III RP staje się tym, czym dla II RP znane dzieło Władysława Pobóg-Malinowskiego — z zastrzeżeniem (i pochwałą), że narracja pozbawiona jest jawnie stronniczej pasji. Ostatnia, monumentalna monografia Dudka dotycząca pierwszych czterech rządów wolnej Polski (*Od Mazowieckiego do Suchockiej*), oparta na imponującej kwerendzie archiwalnej (także relacjach) ukazuje, iż badacz ten równie znakomicie radzi sobie z poszczególnymi (nawet obszernymi) zagadnieniami, co z ich syntezą.

Oczywiście poszczególne interpretacje będą nieuchronnie się różnić, jak wizja dziejów Polski XIX w. pióra socjalisty Bolesława Limanowskiego różniła się od analogicznej wizji Michała Bobrzyńskiego (dla obu antagonistów była to „historia najnowsza”). Ale nawet ostro atakujący „ekscelencję Bobrzyńskiego” Konopczyński nie odmawiał mu miana historyka, i to historyka polskiego. Także w PRL spory (niekiedy mało sympatyczne, jak ten między Jerzym Łojkiem a Emanuelem Rostworowskim) mogły być inspirujące — póki (jak ongiś w Otwocku) nie wkraczało w nie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Dziś jest oczywiste, że źródłem sporów między historykami (których zdumiewająco wielu — jeśli definiować ich wedle dyplomu — znalazło się na szczytach władzy) jest nie interpretacja przeszłości, ale właśnie teraźniejszości. Bądźmy historykami.

Ad 4. Nie uważam, że słowa Konopczyńskiego się zdezaktualizowały. Owszem, pojawiają się kolejne mody (i tematy tabu), ale było tak zawsze. Tak jak przed stu laty rola odegrana przez chłopów (wówczas większość narodu!) w narodzinach II RP rychło zaowocowała licznymi pracami o dziejach wsi polskiej, tak obecnie badanie roli kobiet choćby w epopei Solidarności liczyć może na poklask „medialnych wajchowych” — i bardzo dobrze (byleby rezultaty były merytorycznie nienaganne). Niemniej

stare argumenty, iż historia, prócz pokazania „jak to naprawdę było”, ma uczyć, inspirować i ostrzegać, nie zdezaktualizowały się tylko dlatego, że są stare. Dotyczy to także „polityki historycznej”: twierdzenie, że kraj nie powinien mieć takowej, w istocie też jest prowadzeniem takiej polityki. Naprawdę „polityka pamięci” jest niezbywalnym obowiązkiem. Gdy patrzymy, jak kraje tak różne jak Izrael, Niemcy (które – podobno – „wzorowo przewyciężyły swoją przeszłość”), Turcja czy Chiny odwołują się do historii, widzimy, że nie jest ona czasem przeszłym. Nie tak dawno Anne Applebaum napisała, może przesadnie, iż „gdyby Rosjanom wryło się głęboko w pamięć to, co Stalin zrobił Czeczenom, to w latach dziewięćdziesiątych nie doszłoby do wojskowej inwazji na Czeczenię”. Historia, a raczej odpowiednio spopularyzowana jej wizja jest swoistą *soft power*. W Azji dysponuje nią skądinąd bezbronny Tybet, w przeciwieństwie do znajdującego się w takim samym położeniu Chińskiego Turkiestanu (Xinjiangu). Indie Europejczykom raczej nie kojarzą się z przemocą, bronią nuklearną, terroryzmem hinduskich fundamentalistów, posępnymi opowieściami o traktowaniu kobiet, dzieci i niższych kast. Skojarzenia takie wywołuje mający niemal identyczny bagaż kulturowy Pakistan. Ostatnio Brexit uszedł Brytyjczykom względnie na sucho w sferze propagandowo-emocjonalnej Europy, bo wszak ojczyzna parlamentaryzmu i liberalizmu (choć dopuszczająca się przez wieki zbrodni w Irlandii) nie mogła inspirować się ksenofobią i wstecznictwem. Warto o tym pamiętać.